

BIBLIOTEKA MRÓWKI. TOM 101.

M. Rodoc.

SATYRY

OBYCZAJOWE.



LWÓW.

KSIĘGARNIA POLSKA.

Z 1. Związkowej Drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.



138748

BOŻE! JAK TY RZĄDZISZ ŚWIATEM!

Boże! jak Ty rządysz światem!
Nogami staje do góry!
Dzisiaj, plebejuszów córy
Chcą się równać z patrycjatem!
Dziś mieszcza tak prosto chodzi,
Jakby pokrewna magnacka;
Jak ja! jak ja! którą rodzi
Z Starogratów Odrapacka!

Naprzykład, ta pani Iwo?
Chwałą, że jest ugrzecznona,
Jakiegoś tam radcy żona!
Naturalnie! wielkie dziwo!
I z czegoż ma być nadęta?
Mimo to, młodzież warjacka
Wciąż jej prawi komplementa;
A nudzi się — Odrapacka!

U ciotki, na imieniny,
Był muzykalny poranek;
Siedziałam w pośród mieszczanek,
Przez całe cztery godziny.
Krzywiłam ciągle ustami;
I odjechałam znienacka.

Musiałam; z urzędniczkami
Nie rozmawia Odrapacka!

Ewelina Zadarnoska
Idzie za mąż, w Bialskie strony;
Pan Bogdan, jej narzeczony,
Do rzeczy, jest tam i wioska;
Wszyscy jej zazdroszczą losów.
Bogdan... to jakoś z kozacka;
To dobre dla Zadarnosów;
Niezazdrości Odrapacka.

Od pozaprzeszłej niedzieli,
Chyba już nie pójdę zgoła,
Nigdy w życiu do kościoła.
Wchodzę, idę wprost jak strzeli...
Ławka pełna w pierwszym rzędzie!
To obelga świętokradzka!
Wysłałam; nigdy nie usiedzie
Gdzieś tam w środku Odrapacka!

Pan brat, widząc herb z koroną
Na mej wizytowej karcie,
Śmiał się; ja, po takim żarcie,
Padłam jak długa zemdloną!
Śmiać się z herbu „Oślagłowa“!
A to idea cudaacka!
Podobnych zniewag nie chowa
Do kieszeni Odrapacka!

Najbardziej mi serce ściska
Obejście mojej Malwinki;
Robi tak potulne minki,
Jakby mieszczka bez nazwiska.
Co to będzie! kiedyś! potem!
Moje wnuki! krew magnacka!
Gotowe zapomnieć o tem,
Ze je rodzi Odrapacka!

CIEŻKIE CZASY.

- Witam, witam panie Janie!
— Witam, witam panie Procie!
 — Jakże się miewacie?
— Jak to zwykle w chudym stanie.
— I ja nie opływam w złocie,
 — Ciężko panie bracie!
— Dokąd tak rano? — Do biura.
— A i ja! — Przekłeta dziura!

— Dziś mi coś jakoś dolega;
Możebyśmy gdzie wstąpili
 Na gorzkie kropelki?
— Jak tam uważasz kolega,
Mnie do biurka nic nie pili...
 — Tak, na dwa kufelki.
Ot tu nieźle czasem bywa,
— Ha! dobrze! — chłopeze! dwa piwa!

— Bo to proszę pana Piotra,
 Zoneczka, pięcioro dzieci,
 Ze aż pęka głowa!
 — I u mnie tak, nie dziwota,
 Prawie się dziurami świeci,
 Niechaj Bóg uchowa!
 Już to komu los doskwiera,
 To... chłopiec! dwie porcje sera!

— Bo to proszę pana Jana,
 Ledwie człowiek się obudzi,
 Zaraz daj talara!
 — A i mnie żonka kochana,
 Wiecznie o pieniądze nudzi.
 Istna Boża kara.
 A tu fundusik niewielki...
 Chłopiec! jeszcze dwa kufelki!

— Dzisiaj, proszę pana Prota,
 Dziewięć złotych woła żona,
 Na same trzewiki!
 — A moja znowu hołota
 Wzięła na kiel ze uczona;
 Daj na gramatyki!
 A nie daj, to zaraz płacze,
 Chłopiec! hola! dwa sandacze!

— Ja bo proszę pana Jana,
 Moją zagadam słodziutko,

I w nogi do miasta.
 — A ja, chociaż zapłakana,
 Moją zawsze trzymam krótko;
 Nie dam nic i basta.
 Daję wam słowo honoru.
 Chłopiec! pół funta kawioru!

— Najgorsze to te procenta;
 Z nimi najstraszniejsza bieda;
 Tego to nie lubię.

— Prawda, oj! lichwa przekłeta!
 I ja mam być dziś u żyda,
 Znowu mnie oskubie.

Dość, że gdzie dotkniesz, to rana!
 Chłopiec! butelkę szampana!

— Tak, kochany panie Procie!

— Tak, kochany panie Janie!

 — Zdrowie! w wasze dłonie!

— Niechże was obsypią krocie!

— Niech wam się miljon dostanie!

 — Nie mówcie nic żonie!

— Szampanik! choć pocałować!

— Trzeba firmę zanotować!

A TO MI SIĘ ZDARZYŁO!

— Wiesz co kochana żono,
 Że to wytrzymać trudno;
 Nigdzie nie zamieciono,
 Wszędzie nieład i brudno...

- Oho znowu morały!
 Będzie gderał dzień cały!
 Jakby też o co było!
 Straszne rzeczy się stały,
 Ze się tam raz zdarzyło!
- Ależ moja kochana,
 Przypomnij tylko sobie
 Wizytę pana Jana.
 W sali Staś marchew skrobie,
 Na progu dwa szafliki,
 Miska, trzewik Moniki,
 Woda co się w niej myło,
 Na drzwiach brudne ręczniki ..
- No, to się raz zdarzyło!
- A przypominasz duszko,
 Owo miłe zdarzenie,
 Jak Edzio wlaź pod łóżko,
 I przy pannie Helenie,
 Wyciągał ztamtąd pierze,
 Niepomyte talerze,
 Jakaś gruszkę nadgniała,
 Doprawdy, aż wstyd bierze..
- No, to się raz zdarzyło!
- Albo te nasze dzieci,
 Obdarte, rozczochrane,
 Brud się na nich aż świeci;
 Toż to skonstatowane,

- Że raz, nie wiem kto taki,
 Dawał im dwa trojaki;
 Żał mu się ich zrobiło.
 Myślał że to żebraki...
 — No to się raz zdarzyło!
- Ależ moje kochanie,
 Nie to, to co innego;
 Ze służbą zamięszanie,
 Ze aż coś okropnego.
 Wiecznie cię o coś proszą.
 To wnoszą, to wynoszą,
 To się tam coś rozbiło,
 A wypadeczek z broszą?
 — No, to się raz zdarzyło!
- Ależ gdzie tam raz, — zawsze...
 Zdaje mi się ktoś dzwoni...
- O! nieba najłaskawsze!
 To pewnie pan Antoni!
 A tam w sali pierzyna!
 Nie otwieraj! Regina!
 Gdzie są klucze? To miło!
 Na biurku cielęcina!
 A to mi się zdarzyło!

MUZYKÓW ZEJŚCIE NA ZIEMIĘ.

Wszystkim wam zapewne znana
 Sprzeczka Apolla i Pana,

O flet i fujarę.

W której król Midas za karę,
Ze przyznał wyższość fujarze,
Od dumnego Apollina
Zamiast dostać beczkę wina,
Dostał ośle uszy w darze.

Lecz na tem się nieskończyło ;
Słuchajcie co dalej było.

Apollo zawoła :

Nic mnie nie obchodzi zgoła
Sąd amatora, hołysza ;
Ja żądam znawcy mój Panie ;
Zatem pójdziem po zdanie
Wprost na Olimp, do Jowisza.

Dobrze, mówi Pan, pójdziemy,
Jeszcze raz się sprobujemy !

Poszli i przybyli.

Natychmiast się ustawili
Pod oknami wielkiej sali,
W której pijano herbatę ;
I, naraz głośną sonatę
Z ge dur i be moll zagrali.

W sali był Jowisz, Mars z żoną,
Merkury — więc się bawiono.

Wtem chaos, szum w głowie...

Jowisz się skrzywił, i powie :
Znowu muzyka przekłęta !

Dziś już nie wiem po raz który;
Proszę cię, wyjdźno Merkury,
Odpraw ich, wynieś im centa.

Wyobrażenia nie macie
Mój Marsie, wiary nie dacie,
 Jakie to natręty!
Spacer, pogrzeb, obchód święty,
Obiad, wszędzie się wciskają;
To kwartety, to sonaty,
To symfonje, to kantaty...
Dość, że grają, grają, grają...

Tutaj Merkury powraca,
I rzecze: daremna praca!
 Grać będą od ucha,
Aż się Jowisz dobrze wsłucha.
To koncert Pana i Feba;
Mają nowe instrumenta;
Flet z klapką, fujara dęta;
Żądają krytyki nieba.

Jowisz — rękawy zagina...
Merkury! gdzie moja trzcina?
 Mówi — chcą krytyki!
Wybiegł... słyhać było krzyki...
Powrócił — siadł na kanapie
I rzekł: całe grajków plemię
Kazałem zepchnąć na ziemię.
Niech tam ludziom uszy drapie.

O WIESZCZKO! GDYBYŚ TY CHCIAŁA

Wczoraj, całym dzień płakała,
Noc otarła łzy;

Wzruszona, jeszcze drzę cała,
Jakie miałam sny!

Świetny salon złotem kapie,
A ja chodzę wciąż;

Przy kominku, na kanapie
Siedzi sobie mąż.

Kamerdyner, u kotary,
Stoi tuż jak cień;

Bo pan mąż jest trochę stary,
I głuchy jak pień.

Ja, z wyniosłym ruchem głowy,
Zwracam mowę doń;

Pyszny djadem brylantowy,
Zdobi moją skroń.

Wdziewam suknię ogoniastą
Na książęcy bal;

Widzę już jak całe miasto,
Rwie zazdrości żal.

Rozległ się turkot karety,
Pan mąż żegna mnie...

W tem budzę się, i niestety!
Już po złotym śnie!

Wzruszona, jeszcze drzę cała,
 I patrzę przez łzy;
 O! wieszczko! gdybyś ty chciała
 Ziścić moje sny!

Dr. SKUBACKI.

Suma — osiem tysięcy;
 Ani mniej, ani więcej.

Spada na mnie po dziadku.
 Mówią: bez adwokata
 Odbierzesz za dwa lata;
 Więc proszę w tym wypadku
 Doktora Skubackiego.
 Znany wszystkim i wszędzie;
 Mowi: nic łatwiejszego,
 Spadek w moment nasz będzie.

Upłynęło miesiący
 Osem, ni mniej, ni więcej.

Szanowny adwokacie!
 Co tam słyhać na świecie?
 Mój spadek? jak tam przecie?
 — Pamiętam, w referacie;
 Nakazy, protokóły,
 Popycham; niech pan wierzy;
 Pracujemy jak muły,
 To długo nie poleży.

Upłynęło miesiący
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Łaskawy mecenasie!
Spadek! aż sam się wstydzę!
Zapomniałeś jak widzę!
— Pamiętam — w krótkim czasie
Już będzie; duplikaty,
Cessje — protestowane;
Akceptacje, illaty,
Wszystko przygotowane.

Upłynęło miesiący
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie kochany!
Gonię grosza ostatkiem!
Co się dzieje ze spadkiem?
— Pamiętam — przywołany;
Teraz tylko: duplika,
Inwekta, rotulacja.
Prezentatum, replika,
Taksa i licytacja.

Upłynęło miesiący
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie łaskawy!
Mój spadek! ledwo żyję!
Rosa — wiesz — oczy wyje!
— Pamiętam — pańskiej sprawy

Pilnuję; już kontrakty
 W przelewie, jeszcze: kwity,
 Kaucja, pozew, ekstrakty,
 I interes ubity.

Upłynęło miesiący
 Osiem, ni mniej, ni więcej.

Aj! szanowny doktorze!
 Prędszej ja ujrę cmentarz
 Niż spadek! niepamiętasz!
 — Pamiętam — ach! mój Boże!
 Już tylko bagatela:
 Rekurs, ekstensa z treści,
 Rubrum i kuratela.
 Forsuję co się zmieści.

Upłynęło miesiący
 Osiem, ni mniej, ni więcej.

Doktorze! wstyd! dla Boga!
 Spadek taki maluczki!
 Wasze prawo — to kruczki!
 — Przepraszam — prawna droga,
 I prawne systemata,
 Są procesem logiki.
 Cóż to jest cztery lata?
 Nic nie pomogą krzyki.

Upłynęło miesiący
 Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie! ni słowa!
 Pięć lat prawie baśnie...
 Niech was piorun zatrzaśnie!
 — Przepraszam — rzecz gotowa,
 I oto są rachunki...
 Prowizje, rekwizyta,
 Konferencje, szacunki...
 Proszę, niech pan przeczyta...

Suma — osiem tysięcy;
 Ani mniej, ani więcej.

JOWISZ — DZIEDZICEM.

Jowisz wyprawia śniadanie;
 Wódka, bigos, piwo w dzbanie...
 Ot, po szlachecku;
 Kotka mruczy na przypiecku,
 A przy stole sobie siedzą:
 Merkury, Pallas, Cerera,
 Mars, Djana, Neptun, Wenera,
 Gawędzą i smacznie jedzą.
 Jeden Jowisz ciężko wzdycha,
 Macha ręką i klnie z cicha.

Wreszcie rzecz: goście mili,
 Jakbyście też postąpili
 Uciąwszy bąka?
 Wszyscy milczą, Jowisz chrząka,

I rzecz swą prowadzi dalej:
 Oto dla głupiej ambicji,
 Zakupiłem wieś w Galicji;
 Bodaj mnie djabli porwali!
 Już nie wytrzymam i zginę.
 Zaraz wam powiem przyczynę.

Kupiłem — było to z wiosną;
 Toż myślę, odetchnę sosną!
 Jadę więc panie...

Masz sosnę! na przywitanie
 Sprawa — Maciek pobił Jana,
 Przewróciły się stodoły,
 Zdycha mi koń i dwa woły,
 Ekonom pjany od rana,
 Na polu chwast zamiast żyta,
 W izbie leje się z sufitu...

Dość, że w ciągu dwóch miesięcy,
 Wykładam dziesięć tysięcy,

A po kwartale,
 Mam trzy sprawy w trybunale,
 Na karku raty bankowe,
 Nieopłacone podatki,
 I od podatków dodatki...
 W końcu straciłem już głowę.
 Ja to przypłacę chorobą!
 Radźcie co mam robić z sobą?

Eh! — powie — Wenera, sądzą,
 Że na wsi grunt — to pieniądze.

Więc w przyszłe lato
 Jowiszu, żeń się bogato.

Aj! rzecze Jowisz, zielono
 Masz w głowie Wenero miła;
 Czy cię pamięć opuściła?
 A cóż ja zrobię z Junoną?
 I westchnął jakby miał ranę,
 I czule spojrział na Djanę.

Ta mówi: gdybym wieś miała,
 Cały dzień bym polowała.

Tak miło w lesie!
 Przytem łów i zyski niesie.
 Ach! lisy! niedźwiedzie! dziki!...
 Czemuż nie lwy i lamparty!
 Woła Jowisz; wolne żarty,
 U mnie proszę dobrodziki
 Zwierzyna — w stajni kot bury,
 A no i myszy i szczury...

Z kolei Neptun powstanie
 I prawi: grunt — drenowanie.

Tak jest panowie!
 Dobrobyt spoczywa w rowie.
 Suszyłbym i maczał pola
 Wszędzie zakładałbym rury...
 Zwłaszcza gdy w kieszeni dziury,

Przerwie Jowisz, wolna wola,
 Maczaj sobie gdy masz grosze;
 Merkury, powiedz co, proszę.

Ja powiadam — bez namysłu
 Rzecz tenże — brak przemysłu.

Znalazłbym rację
 Na trzy nowe propinacje,
 Sprowadziłbym sobie żyda,
 I spoił pół Europy.
 Ba! ba! gdyby piły chłopcy!
 Rzekł Jowisz, nie piją — bieda!
 Cały więc twój projekt — zero.
 Może ty co wiesz — Cerero?

Ja ci radzę mój kochany.
 Powie Ceres — płodozmiany.
 Zmieniaj — buraki,
 Żyto, wyka, pasternaki...
 To kłosa to znów łodyga.
 Probowałem! probowałem!
 Woła Jowisz, przemieniałem!
 Została mi w zysku — figa!
 Figa z makiem, na gorąco.
 Cóż Pallas dziś tak milczącą?

Żal mi cię mówi, żeś struty,
 Minerwa — Kozłowe buty,
 Klucze u boku,

Praca od rana do zmroku;
 Tego się chwyć, — pójdą sprawy.
 Jowisz westchnął, trudne drogi...
 Mówi, człowiek ma nałogi...
 No, to Jowiszu łaskawy
 Rzecz Pallas — nie ma rady,
 Zejdiesz kochanku na dziady.

PRELEKCJA.

Żart etymologiczny.

Dziś, rozbierzemy panowie
 Wyraz *Banialuka*, który
 Mieści w swoim źródłosłowie,
 Wątpliwości całe góry.
 Wielu uczonych traktuje
 Wyraz ten, tak, od niechcienia;
 Ja przeciwnie, rzecz wysnuję
 Z przekonania i z sumienia.

Jeden z naszych mędrców kładzie
 Nacisk na sylaby *Ba-ka*;
 Sprzeciwiam się tej zasadzie
 Uczonego współrodaka.
 On z tego punktu wychodzi,
 Że ksiądz pisze banialuki;
 To niczego nie dowodzi,
 Tak rozumują nieuki.

Drugi chwyta brzmienie *Ba-nia*,
 Która, że jest wewnątrz pusta,

Według jego przekonania
 Wyraz ten kładzie nam w usta.
 Ależ nieba najłaskawsze!
 To brednia, brednia zupełna!
 Bania nie jest pustą zawsze,
 Nalawszy ją, bywa pełna.

Inny również źródłosłowu
 W pojęciu pustości szuka;
 I radzi nam oto znowu
 Brać skrajne sylaby *Lu-ka*.
 Etymologję opierać
 Na zbiegu skrajnych końcówek!
 Z takim nie ma co się spierać,
 Bo to wyraźny półgłówek.

Najsławniejszy badacz bierze
 Sylaby *Lu-ba* i *Ka-nia*;
 Kochanka! i dzikie rwierze!
 Kontrast, według jego zdania,
 Ma tu rzecz dobrze malować;
 W tem nie ma najmniejszej racji;
 Możemy mu powinszować
 Umysłowej aberracji.

Jest jeszcze wielki uczony,
 Któremu pierwsza sylaba,
 Pierwszy dźwięk, byle zdwojony
 Wytyczną; jak tutaj *Ba-ba*.

Szanowny uczony w błędzie;
 Bo baba choć brednie plecie,
 To nie każda i nie wszędzie;
 Różne są baby na świecie.

Ja, kwestję stawiam inaczej,
 Z ogólnego stanowiska;
 I każdy z panów zobaczy,
 Jak z zamętu światło błyska.
 Ja zdwajam sylaby razem,
 Co do jednej dla badania;
 I występuję z obrazem:
Ba - ba, Lu - lu, Ka - ka, Nia - nia.

Tu, sam dźwięk, poparty wiedzą,
 Stawia na oczy odrazu,
 Że tak niemowlęta bredzą;
 Więc tu i źródło wyrazu.
 Ten systemat w mojej głowie
 Wykiłkowała nauka;
 Teraz wiecie już panowie,
 Jak się rodzi *Banialuka*.

STRASZNIE NIENAWIDZĘ PLOTEK.

- Czy pani zna panią Różę?
- Przypominam doskonale.
- Wie pani, ten Jowisz w chmurze,
 Nogi miała takie duże

- Kocha się w panu Michale!
- Nie widziałam jej od dawna,
Czy zawsze głupia jak ciele?
- Zawsze jest taka zabawna;
Ubiera się jak podlotek.
A! mówić by o tem wiele;
Ale ja nie lubię plotek.
- Wie pani losy Rafała?
- Czyżby nowy figiel żony?
- A! to jest historia cała!
Podobno go podrapała
Tak, że aż nos ma czerwony.
- Po ślubie, pani pamięta
Jak się trzymali za ręce?
- Wiem, Rafał mówił to święta!
Moja turkawka! mój kotek!
Cha, cha, cha, gadają więcej,
Ale ja nie cierpię plotek.
- A wie pani o Cyprjanie?
- Słyszałam że u nich bieda,
— W takim są okropnym stanie
Że nie mają na ubranie;
To się i opisać nie da.
- Wiem, żona bieliznę łąta,
Towary na kredyt biorą...
- Gorzej, bo sam pan zamiata,
Nawet bierze się do szczotek.

Mówią o tem w mieście sporo...
Ale ja nie słucham plotek.

- Zna też pani Władysława?
— Wiem, wiem, wiem, dostał odkosza.
— O! to jest zabawna sprawa,
To już na skandal zakrawa;
Wszak panna była bez grosza?
— Ale gdzie tam! nie to wcale!
Panna Emma nie jest biedną...
— Więc musi mieć jakieś ale!
Zapytam o nią jej ciotek;
Wprowadźcie mi to wszystko jedno,
Ale ja nie znoszę plotek.
- Ja tak samo, to rzecz zdrożna.
— Ma pani zupełną rację.
— Nie wiem jak obmawiać można;
Ja jestem bardzo ostrożna;
Naprzykład: zna pani Grację?
— A jakże! skrzecząca czapła!
A pani zna siostrę Jana?
— O! ta, to wszystkich przepapła,
Język ma jak kołowrotek;
To samo Helena, Djana...
Strasznie nienawidzę plotek!
-

TO BARDZO BYĆ MOŻE.

Świat jest głupi; daję słowo;
Dziwią się w gazecie,
Ze jakiś profesor, głową,
Wsławił się na świecie.
Ja jeszcze przed ośmiu laty
Bywałem faktorem,
A dziś mam milion intraty,
I dziesięć wsi z borem.

Bo proszę, niech mi kto powie,
Co to jest nauka?
Mówić to, co siedzi w głowie,
To niewielka sztuka.
Niech sobie co chcą gzdają,
A trudniejsze role
Tych, co niby rozum mają
Wyprowadzić w pole.

Pisać książki! wielka heca!
Człowiek pióro bierze,
I usiadłszy koło pieca
Jeździ po papierze.
Ja, ja gdzie się tylko ruszę,
To mam ciężką pracę,
Ja wszystkich oszukać muszę,
Bo inaczej tracę.

Uczony! co mi uczony!
 Co po tej robocie?
 Czy on ma jakie miljony,
 Albo chociaż krocie?
 Za co sławny? że naskrobie
 Tom jakichś oracji?
 Ja sto tysięcy zarobię
 W jednej licytacji!

Czy on ma choć dwa pałace,
 Takie jak ja cztery?
 Złote wazy, srebrne tace,
 I kamerdyenery?
 Ja jego widział z wytartą
 Na łokciach kapotą,
 Z nim nawet gadać nie warto,
 On chodzi piechotą!

Aj! aj! kto go taki chwali?
 Kto taki? kto taki?
 Oni chyba zwarzowali
 Te wszystkie pismaki!
 Mnie sam książę hrabia przecie,
 Kłania się i ściska!
 A nigdy nie ma w gazecie,
 Mojego nazwiska!

Ach! jakby to miło czytać,
 Goldberg i pochwały!

Ztąd nawet dałby się schwytać
 Czasem zysk niemały.
 Muszę posłać trzy tysiące,
 Na kraj wygłodzony;
 Zaraz będą pisać brzmiące
 O mnie fejletony:

Ze jestem pełen zasługi,
 Wielki i ofiarny;
 Potem znów dam, raz i drugi...
 Będę popularny!
 I może być, miasto które,
 Aj! daj! panie Boże!
 Wystawi dla mnie figurę!
 To bardzo być może.

MODNIE UBRANA.

Boże jakiś Ty łaskawy!
 Dzięki ci za dary Twoje!
 Koncerta, bale, zabawy,
 Ostatnie mody i kroje.
 W lustrze od samego rana
 Mierzę, przymierzam i mierzę.
 Ach, w ogrodzie na spacerze,
 Będę najmodniej ubrana!

Powiadają że to zbytki;
 O co tu tyle hałas?

Dwieście łokci aksamitki,
 Sześćdziesiąt dziewięć atlasu,
 Pięć piór, chustka haftowana,
 Z djamentem brosza niewielka...
 Ach! doprawdy — bagatelka.
 Będę najmodniej ubrana!

Co to tam tak w kuchni płacze,
 Że aż tu słyhać przez ścianę?
 To nasze dzieci! smarkacze,
 Jakie to umorusane!
 Idźcie precz! — *a la pastrana*
 Przynieśli właśnie okrycie:
 Ach! to dobrze! na odczycie,
 Będę najmodniej ubrana!

Już idzie pan Piotr; uczony,
 Prawić o literaturze!
 Niech plecie brednie do żony,
 Albo do kolegów w biurze.
 Nie ma mnie! Moja falbana
 Jak leży, pójdę, popatrzę...
 Ach wieczorem, na teatrze,
 Będę najmodniej ubrana!

Helenka mi się przysięga,
 Że noszą już inne bufki;
 A mój pan mąż, niedołęga!
 Mówi, że wydał łapówki,

Srebrna waza już sprzedana,
Więc zastawiam cukiernicę...
Ach! wybornie! na muzyce,
Będę najmodniej ubrana!

Onegdaj mnie rwała głowa,
I ciężkie napadły smutki;
Mówili, że Alfredowa
Miała bąble u narzutki!
Byłabym już pogrzebana,
Gdyby nie rada Anielki...
Ach! mam te same bąbelki!
Będę najmodniej ubrana!

Od wczoraj mdleję i krzyczę,
Mąż mówi, że nie ma centa;
Safandula, ja pożyczę,
Pożyczę, lecz popamięta.
Pan Alfons... już dzisiaj zrana
Wspominał... więc go ośmielę...
Ach! i po jutrze w kościele
Będę najmodniej ubrana!

ZŁOTA MŁODZIEŻ.

Hej tam komu ochota!
Baczność! Lwowie! Krakowie!
Podnoszę zdrowie!
Niech żyje młodzież złota!

Ona to, pełna brawury,
 Ustroiłszy głowy w rury,
 W pół-łokciowym kołnierzyku,
 Pokój czy wojna,
 Mężna, strojna i zbrojna,
 Zadaje ulicy szyku.

Przybył panicz do miasta,
 Czerpać w skarbnicy wiedzy.
 Teatr, koledzy,
 Kieszeń pełna, wice szasta.
 Minął rok. Spacer — niedziela,
 Lew do kobiet okiem strzela,
 Chłód i sarkazm na języku...
 Nagle się mieni.
 Co to? — Żyd. Lew szast do sieni,
 Zadał ulicy szyku.

W śródmieściu zmrok zapada,
 Sam czas na polowanie.
 Panienki! Panie!
 Strzeżcie się! biada! biada!
 Lew ostre gładzi pazury,
 Poprawia na łbie fryzury,
 I w upatrzonym kąciku
 Zastawia siecie.
 Ryknął — poczuł kij na grzbiecie,
 Zadał ulicy szyku.



Ostrożnie! chować pięście!
 Lew chodzi z rewolwerem;
 To nie jest zerem,
 To może być nieszczęście!
 A co? nie przepowiedziałem?
 Ktoś tam lwa nazwał cymbałem!
 Sprzeczką, wrzask jak na sejmiku.
 Wrogów rozjęto.
 Lew odszedł z gębą spuchniętą,
 Zadał ulicy szyku.

Po takiej ostrej dubli,
 Lew co był bez pardonu,
 Opuszcza z tonu.
 Gardzi naturą wróbli,
 Woli być ostrożnym ptakiem.
 Więc choć go nazwać *zdechłakiem*,
 Uika wrzawy i krzyku.
 Za każdym razem
 Drwiny puszczając płazem,
 Zadaje ulicy szyku.

NAJLEPIEJ NIE MYŚLEĆ O TEM.

— Powiedz mi drogi Arturze,
 Czemu u nas w domu bieda?
 Ciągłe pożyczasz od żyda,
 Przecie bierzesz pensję w biurze?

- Wiesz co, Maryniu jedyna,
Sam nawet nie wiem dla czego;
Jednak musi być przyczyna,
Życie nad stan, nic innego.
- Te same wczoraj wyrazy
Mówiłam do twojej matki;
A zatem zmniejszmy wydatki,
Będzie nam lepiej sto razy.
- Tak Maniu, więc szczegółowo
Obliczę nasze fundusze,
I dam sobie święte słowo:
Z tego co mam, wyżyć muszę.
- Tak Arturze, zliczmy ile,
I słowo: choćby mrzeć z głodu,
Tyle a tyle dochodu,
Wydaję tyle a tyle.
- Zgoda; otóż do wydania
Mamy rocznie dwa tysiące.
Zacznijmy od pomieszkania,
Jest za drogie, rujnujące!
- Schwyciłeś moją myśl własną,
Zmienić! Nie, nie, ani sposób!
A jak przyjdzie więcej osób?
Gdzie wleżą? będzie za ciasno.
- Prawda, chociażby to było
Poniekąd i lepiej może,

Mniej gości... choć znów nie miło
Zamknąć się tak jak w klasztorze.

- Arturze! prawda! masz rację!
Coby ludzie powiedzieli!
Wiesz co, myślę od niedzieli
Znieść gotowaną kolację.
- Maryniu! co tobie w głowie!
Czy chcesz byśmy żyli manną?
Gdzie w grze moja duszko zdrowie,
Tam oszczędność jest naganną.
- Prawda, czytałam tej zimy:
Zdrowa dusza — w zdrowem ciele;
Zresztą to nie znaczy wiele.
Na czemże więc oszczędzimy?
- Na czem? oto moja droga...
Maryniu... kiedy się boję...
To jest... widzisz... cóż u Boga!
No, wiesz co chcę mówić... stroje...
- Dobrze! na mnie wszystko spadło!
Wiesz, że jestem oburzona!
Więc chcesz żeby twoja żona
Chodziła jak czupiradło?
- Ależ to był wniosek tylko!
Cofam go! niechaj upadnie!
Samaś życzyła przed chwilką,
Każdą rzecz zbadać dokładnie.

- Co tu pomogą badania!
 I tak co mogę to robię,
 Wszystkiego odmawiam sobie,
 Trudno chodzić bez ubrania!
- Masz rację! nie można przecie
 Żyć rosą i spać pod płotem;
 Poprostu — głupio na świecie!
 Najlepiej nie myśleć o tem.

PATRZ CO JA MAM JANIE! JANIE!
 (Żart archeologiczny.)

- Tak, szanowny profesorze,
 Ten zabytek, wypadkowo
 Odnalazłem w moim zbiorze.
 Daję ci najświętsze słowo.
- Zupełnie wierzę koledze,
 I przepowiadam zawczasu,
 Ze narobimy hałasu;
 O wiek posuniemy wiedzę.
- Jest to niby kawał skóry,
 Patrz kolega, z jednej strony
 Chropawy, szarawo bury,
 Po rogach zaokrąglony.
- Widzę, i myślę głęboko,
 Co to takiego być może?
 Zaraz, okulary włożę;
 Bo zawodzi gołe oko.

— Słusznie. O, widzi kolega,
Jakie tu floresy śliczne?

Mnie myśl po głowie obiega?

Ze to jest pismo runiczne.

— Może; lecz żeby dojść wątku,

Nie bierzmy rzeczy od końca,

Obróćmy przedmiot do słońca,

I badajmy od początku.

— Zgoda, od początku; owo,

Z jakiej zabytek epoki?

Cechuje przedpotopową;

Dziwna, że zachował soki.

— To nic, to nas przekonywa,

Że majster był sumienniejszy

Przed potopem niż dzisiejszy.

Nieprawdaż? skóra jak żywa?

— Prawda, mimo że jest zdartą;

Zatem, epoka zbadana:

Choć przedyskutować warto,

Czy to nie będzie skórzana?

— Jedne ztąd płyną wyniki!

No, idźmy dalej pomału;

Do jakiego odnieść działu,

Napis — do epigrafiki?

— Tak, gdyby nie kwestja mała,

Że nigdy, w żadnym djalekcie,

Epigrafika nie stała
 Na tak szczególnym obiekcie!
 — Więc może ikonografja?
 Czy to nie rysy świętego?
 Tylko znowu tak małego,
 Nie miała żadna parafja.

— A może numizmatyka?
 Jaki traktat o monecie?
 Tu jest coś nakształt orlika!
 Jak na bankowym bilecie.
 — Wątpię; a czy to nie będzie
 Sfragistyka? dawniej, w biurze
 Pieczęcie bili na skórze,
 O, o, kółka, kółka, wszędzie.

— Czekaj, czekaj no kolego,
 Nieprzeszkadzaj, w myślach tonę;
 Ja tu widzę coś nowego,
 Osła, a nad nim koronę!
 — To dyplomatyka zatem!
 To jest dyplom na hrabiego!
 Niezawodnie dla Noego;
 Tak, tak, tak, korona, z batem!

— Co za pyszna analogja!
 Poddam to działaniu chemji!
 Niech żyje archeologja!
 Ja lecę do akademji!

Janie! poszukaj surduta!
 Patrz! co ja mam! Janie! Janie!
 — To jest moje jaśnie panie!
 Podeszew stara, od buta.

TAK KOLEGO...

- Tak kolego... dziwne zmiany!
 Dawniej — byłeś jak krew z mlekiem;
 Dziś, blady, nędzny, złamany,
 Gdy ja, chociaż starszy wiekiem,
 Patrz! ścięgną mam jak stałowe,
 Ręce, nogi — wszystko zdrowe.
 Wytłómacz że mi to bracie,
 Bo ja tego nie pojmuje?
- Ha! pewnie codziennie jadacie,
 A to, widzisz konserwuje.

MYŚLIWI.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
 To tak mocium panie było:
 Prawdziwa myśliwska sztuka.
 Polowaliśmy z naganką
 Na lisa i na borsuka.
 — Ja, stanąłem nad polanką,
 I tak ci wycelowałem,
 Że ubijam jednym strzałem

Lisa i kulą do płota
Przygważdżam za ogon kota.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Byłóż panie dziwu, było!
Raz, zmrokiem, patrząc, na grzędzie
Coś siedzi; okrągłe główki,
Dwanaście kuropatw w rzędzie.
Pakuje stempel do lufki,
Podchodzę z boku ostrożnie,
Pęc! i ptaki jak na roźnie,
Na stemplu, choć smaż u pieca,
To mi się nazywa heca!

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
W zimie, na dziki to było;
Wytropiliśmy dwa stada.
Jeden warchlak jak szalony,
Pod nogi mi panie wpada.
Ja, byłem trochę zmęczony,
Przysiadam mu więc na grzbiecie,
Ten rusza, i co powiecie,
Podwiózł mnie prawie do dworu.
Daję wam słowo honoru!

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Niepamiętam gdzie to było,
Dość, że szliśmy na niedźwiedzie.
Sądziłi panie że zginę.

Bestja prosto na mnie jedzie,
I łapami za czuprynę.
Myślę, co on mnie dotyka!
Jak wytnę mu w sam nos byka,
Aż fajtnął na środek drogi,
Ogon pod siebie i w nogi.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To już prawie cudem było!
Obnosili mnie jak króla;
Pogłupieli z podziwienia.
Jedna panie moja kula,
Wierci na wylot jelenia,
Z jelenia wpada w zająca,
Wypadłszy na śmierć potraça
Dwie sarny i lisów kilka,
Wreszcie grzęźnie w pysku wilka.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To dopiero pięknie było!
Polowaliśmy z obławą;
Słucham, właśnie była susza,
W krzakach coś szeleści trawą,
I najwyraźniej się rusza.
Wnet poznałem zwroty dzika;
Bęc! bęc! ot co jest praktyka:
Trafiłem w sam łeb sąsiada,
W dwie panie baby i w dziada. .

OKROPNIE MNIE ZĘBY BOLAŁ!

- Panie dyrektorze! noszę
W piersiach miłość srebrnej bieli;
Jej strzałą przeszyty, proszę
O rękę panny Anieli;
Której blaski i przymioty,
Jako słońce promień złoty...
- Bardzo mi jest, bardzo miło;
Niech pan siada; jabym trocha
Rad wiedzieć jak to tam było...
Czy Anielcia pana kocha?
Znacie się od dwóch miesięcy
Zaledwie, od trzech najwięcej...
- Panie dyrektorze! groby
Zawarłyby me zamiary,
Gdybym od drogiej osoby
Bezwiednej żądał ofiary.
Sądzę mieć za sobą losy;
Duszy oddźwięk srebrnogłosy...
- Dobrze, dobrze, panie Janie,
Niech mi pan za złe nie bierze;
Lecz zadam drugie pytanie:
Czy też pan ją kochasz — szczerze?
Ona nie jest piękną wcale:
Pan wiesz o tem doskonale...
- Panie Dyrektorze! wdzięki
Są znikome; serce moje,

Czując ubóstwianie męki,
Zanurza się w głębsze źródle;
W źródle cnoty i słodocy;
Wzywam nieba! niech przeliczy...

— Zgadzam się z panem w tym względzie;
To też lękam się jedynie,
Czy Anielci dobrze będzie
Potem, gdy zachwył przeminie.
To sierota nieszczęśliwa,
Jej przyszłość na mnie spoczywa...

— Panie dyrektorze! księzę
Każ podać święta; wyszłocham
Tutaj, przed Bogiem przysięgę,
Że będę kochał jak kocham.
Złotem uścielę jej drogę!
Ja bez niej żyć już nie mogę!

— Skoro tak, tośmy u wątku,
Będzie twoją mój kochany;
Ja, który nie mam majątku,
Nie dziw się, żem był stroskany,
Chodźmy do Anielci, ona
Pewnie nas czeka stęskniona.

— Panie dyrektorze! serce
Drży mi jak na odgłos gromu,
Ja w moich marzeń rozterce...

To jest... muszę iść do domu.
 Bóg świadkiem... po wódkę z solą,
 Okropnie mnie zęby bolą!

JESTEM PAN I KWITA.

Ludzie dbają o szacunek,
 O imię, wawrzyny;
 Ja bo chwale ten gatunek,
 Co dba o cekiny.
 Co mi tam! co mi tam!
 Gdy mnie kto zapyta
 Co zacz? — Pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Pan Jan mówi: moja rada,
 Czytać dobrodzieju;
 Bo to dzisiaj nie wypada
 Nie mieć tu, oleju.
 Co mi tam! co mi tam!
 Niech sobie sam czyta;
 A ja — pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Pan Wit w ciągłych irytacjach,
 I plecie androny,
 Żem na mytach, licytacjach,
 Zdarł kraj na miljony.
 Co mi tam! Co mi tam!

Niech będą i myta;
 A ja — pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Pan Piotr klnie, szle mnie do biesu,
 I zgrzyta zębami,
 Żem go wciągnął w interesa,
 I puścił z torbami.
 Co mi tam! co mi tam!
 Niechaj sobie zgrzyta;
 A ja — pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Pan Prot, na wczorajszej hecy,
 Gdy go o coś pytam,
 Rzekł mi, pokazując plecy,
 Ja łotrów nie witam.
 Co mi tam! co mi tam!
 Niechaj się nie wita;
 A ja — pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Pan Roch mówi: w kraju bieda,
 A ty kapiesz złotem;
 Któż, jeśli bogaty nie da?
 Ani myślę o tem.
 Co mi tam! co mi tam!
 Kraj, rzecz pospolita;
 Ja -- dla siebie kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

Na to wszystko, brat mi gada :
 Słuchaj panie Janie!
 Co do mnie, twoja zasada,
 To bandytyzm panie!
 Co mi tam! co mi tam!
 Niech będzie bandyta ;
 Głupstwo! pełną kieszeń mam,
 Jestem pan i kwita.

BOŻE! JAKA ONA GŁUPIA!

- Ależ mateczko kochana,
 Ja jestem zawsze jednaka ;
 Tak samo dla pana Jana,
 Jak i dla pana Dydaka.
- Nie, nieprawda, kłamiesz Maniu,
 Dzisiaj zrana, po śniadaniu,
 Siedziałaś moje kochanie,
 Cały czas przy panu Janie.
- Ależ mateczko jedyna,
 To pan Jan sam, mówię mamie,
 Siadł przy mnie, — moją to winą?
 Jak mamę kocham nie kłamie.
 Czemuż pan Dydak nie siada?
 Byłabym tak samo rada
 Jednemu jak i drugiemu,
 Przecież sięść wolno każdemu

- Pan Dydak nie jest bałwanem,
Dobrze patrzy w twoje oczy;
Serce ci za panem Janem
Ledwo z piersi nie wyskoczy.
Jest za kim! wielka nowina!
Jakiś tam urzędniczyna!
Dwa tysiące złotych rocznie!
Ciekawam co z żoną pocznie!
- Ależ mamó moja złota,
On o mnie nie myśli, może,
Ot tak, przyjdzie mu ochota,
Siądzie, rozmawia... mój Boże!
Przecież mama nie zaprzeczy,
Że on jest bardziej do rzeczy
Niż pan Dydak, co na świecie
Ideał widzi — w kotlecie!
- Każdy pan bywa łakomy!
Ma na to, bo jest bogaty,
Posiada dobra, dwa domy,
Ze sto tysięcy intraty.
Gdybyś ty rozumną była,
Tobyś mu się przymiliła;
Dwie, trzy, powłóczyście miny...
Byłby twoim w półgodziny.
- Ależ ja nie mam ochoty!
Przytem byłoby... nieskromnie.

Przecież mu nie powiem: złoty
 Dydaczku siadaj koło mnie.
 Wreszcie .. jeśli chcesz z córeczką
 Twoją... rozstać się mateczko!
 To moja złota! kochana!
 Ja... ja wolę pana Jana.

- Maniu co się z tobą stało!
 Tobie widzę romans w głowie!
 Taką partję doskonałą
 Puszcząć! co świat na to powie!
 Dziecko! brak ci doświadczenia,
 Po ślubie wszystko się zmienia,
 Powoli... pana Dydaka
 Pokochasz... no, daj buziaka...

— Mamo on taki paskudny!
 Z każdym się kłóci i droczy!
 Taki nieużyty, brudny,
 Tak śmiesznie wyłupia oczy...

— Maniu tyś chyba szalona!
 Pan Dydak! taka persona!
 Pan Dydak! oczy wyłupia!
 Boże! jaka ona głupia!

DJABLIŻ TAM O TEM WIEDZIELI.

Czy to sam, czy wśród zabawy,
 Wiecznie ci brak wychowania.

Eh! co tam! szkoda gadania!

— No, no, no, jestem ciekawy,

Mów ojciec, bez ceregieli,

Djabliż tam o tem wiedzieli.

— Skromni powinni być młodzi;

A ty, z papierosem w łapach,

Rozrzucasz się po kanapach.

To w salonie nie uchodzi;

To nie przy jakiejś mamzeli.

— Djabliż tam o tem wiedzieli.

— Dziś bratku, każdy stróż prawie,

Zna szacunek dla kobiety;

Ty o tem nie wiesz niestety!

Wczoraj siedziałeś przy kawie

Tyłem do pani Adeli.

— Djabliż tam o tem wiedzieli.

— Chociaż twój dowcip lichota,

Ty, gdy toczy się rozmowa,

Niedasz innym przyjść do słowa,

I cieszysz się gdy głupota

Twoja znajdzie wielbicieli.

— Djabliż tam o tem wiedzieli.

— A to niby wychowanie,

Nieodpisywać na listy?

Jesteś impertynent czysty!

Wielki mi człowiek mosanie!

Napoleon! Antonelli!

— Djabliż tam o tem wiedzieli.

— Dajże raz pokój z djablami,

Bo mnie to już niecierpliwi.

Wszystkiemu się panie dziwi!

Powiem ci wprost, między nami,

Żeś cymbał, bez ceregieli.

— Djabliż tam o tem wiedzieli.

A CO? NIEMÓWIŁEM!... KROWA!

To ci kumie tęga zima!

Ja tu już godzinę stoję,

A numerów jeszcze nie ma.

Dziś, to chyba przyjdą moje.

Bo miałem sen — jak na dłoni.

Ja nie tak, jak kum Antoni,

Co we śnie leciał do rzeki,

A postawił same byki.

U mnie kumie to tak było :

Nad samem ranem, we wtorek,

Najwyraźniej mi się śniło,

Żem Turka pakował w worek.

Na Turku siedział kot bury,

Z żółtym ogonem — do góry,

A w lewo, sterczał z kałuży

Rybi ogon — na sąg duży.

Myślę sobie, widzieć Turka,
 Jedenastka — ani chybi
 Kot — to już wiadomo — czwórka.
 Ale kumie ogon rybi?
 Rybi ogon państwo moi!
 Patrzę w sennik — jak byk stoi:
 Ogón ryby brać przez chustkę —
 Fortuna — stawiaj na szóstkę.

Idę — odchodziło Berno.
 Żyd pyta, jakie numery?
 Pisz mówię, psia wiaro, terno:
 Jedenaście, sześć i cztery.
 Pisz — pyta wiele idzie?
 Pięć reńskich, powiadam, żydzie.
 Myślę sobie, pal go kaci!
 Jak wygram to się opłaci.

Tylko się boję jednego,
 Że mi we śnie coś ryczało —
 Nuż krowa, broń Boże czego,
 I nule kłaść należało?
 Ale nie, nie, toć w przededniu,
 Trzy nule wyszło na Wiedniu.
 Zkądżeby zaś? z jakiej racji?...
 Tu potrzeba kalkulacji...

Czekaj kum! — idą numery!
 Jak Boga kocham! trzydzieści!
 Piędziesiąt! dwadzieścia cztery!
 Osiemdziesiąt i czterdzieści!
 A niechże ich biją kule!
 A to heca! same nule!
 A niechże je piekło schowa!
 A co? niemówiłem?... krowa!

JAKOŚ TO BĘDZIE.

Fredziu! słyszę spadek — brawo!
 Winszuję, a no i sądzę,
 Ze dziś, doświadczony krwawo,
 Zechcesz szanować pieniądze.
 Bo kto ich się raz pozbędzie...
 — No, no, no, jakoś to będzie.

— Widzę Fredziu, szyk nielada,
 Urządziłeś się jak pasza;
 Musiałaż cię ta parada
 Kosztować, aż mnie przestrasza.
 Toż dukacików ubędzie...
 — Nie bój się, jakoś to będzie.

— No cóż Fredziu? przez pół roku
 Sto tysięcy djabli wzięli;
 Ej! ostrzegam! zwolnij kroku,
 Bo jak wpadniesz do topieli,

Nikt cię z niej nie wydobędzie...
— Eh! głupstwo! jakoś to będzie.

— Więc Fredziu, jesteś w kłopotcie,
Podobno że krucho z nami,
Fiu! fiu! fiu! i poszły krocie!
I dziś już gonisz resztkami.
Mówią o tem głośno wszędzie...
— Eh! co tam! jakoś to będzie.

— No, teraz Fredziu siedź cicho;
Dostałeś żonę i wioskę,
Pracujże, by cię znów lichy
Nie wtrąciło w jaką troskę.
Sumienie przyzwij na sędzie...
— Rozumiem, jakoś to będzie.

— A co Fredziu! moje wróżby?
Zrobiła się piękna chryja!
Zona poszła w świat, do służby,
Ty siedzisz na łasce stryja,
I śpiewasz trele łabędzie...
— Ha! trudno, jakoś to będzie

— To ty! Alfredzie! Bóg z tobą!
Cóż to ja widzę! łachmany!
Zlitujże się sam nad sobą!
Od samego rana pjany!
Miej wstyd, miej zdrowie na względzie!...
— Cha!... cha!... cha!... jakoś... to... będzie.

CZY TO NIE JEST PROSTA DROGA?

Wczoraj ja miałem rozmowę;
Mój brat był zdziwiony;
On rabin; zachodził w głowę,
Zkąd ja mam miliony.
Mówił: ludzie prostą drogą
Miljonów zrobić nie mogą;
Ze to rozbój oczywisty;
A ja, że interes czysty.

Mój tata, miał na folwarku
Szynk, i płacił zgóry;
A mnie kazał na jarmarku
Kraść u chłopów kury.
Za każdą dawał trzy grosze;
Tak ciułało się potrosze,
I w czternastej życia dobie
Miałem już sto rubli sobie.

Jak na tatę zatrąbili
Aniołowie w niebie,
To ja szynk tej samej chwili,
Wziąłem sam na siebie.
A choć byłem jeszcze młody,
Umiałem łać w wódkę wody
I robić muzyki grzmiące.
W pięć lat miałem trzy tysiące.

Potem jechałem do miasta ;
A tam są panięta ;
Taka młodzież, co to szasta
I płaci procenta.

Ja brałem procent uczciwy,
Sześć na miesiąc, jak Bóg żywy.
I tak przez dziesięć lat w mieście,
Zebrałem tysięcy dwieście.

Zakupiłem kamienicę
Po arystokracie ;
I chodziłem na ulicę
Nie w żadnym chałacie,
A w żakiecie, jak panowie ;
Wprowadziłem się w polskiej mowie,
I nie żałowałem wcale
Na obiady i na bale.

Rezultaty pokazały,
Że ja miałem rację ;
Bo ja moje kapitały
Kładłem w licytacje.
Czy tam gdzie dostawa jaka,
Czy loterja, czy tabaka,
Wszystkom brał na wszystkie strony.
I w rok miałem dwa miljony.

Potem kupiłem koncesje
Na banki ; i oto.

Naród szedł jak na procesję
 I znosił mi złoto.
 Wojowałem *baisse* a, *hausse* a,
 Mnóstwo głupców poszło boso,
 A mnie suma się zebrała
 Dziesięć milionów bez mała.

Dziś mam sto; jak w jakim raju
 Dobrze mi się dzieje;
 Pobudowałem dla kraju
 Dwie wielkie koleje;
 Przyjaźnię się z ministrami,
 Córki moje za hrabiami,
 Ludzie sławią mnie jak Boga...
 Czy to nie jest prosta droga?

A IDŹŹE JUŻ RAZ! NUDZIARZU!

— Wiesz co, kochany Aniele!
 Dziś, gdym siedziała w kościele,
 Przyszedł mi projekt do głowy.
 Wypada nam dać wieczorek.
 Cały plan mam już gotowy;
 Kłopotów mi będzie wiele;
 Dziś środa — myślę we wtorek.
 Daj buzi! jesteś amorek!

— No, no, no, jakie czułości!
 Otóż co powiem jejmości:

Ze to bardzo pięknie — ale
 Nie wiem czy kieszeń pozwoli.
 Choć rozumiem doskonale,
 Ze... że są okoliczności,
 W których człowiek mimowoli
 Musi iść wbrew własnej woli.

— Ma się rozumieć! masz rację!
 Już wiem co dać na kolację!
 Tak jak u mamy: pasztety,
 Krem śmietankowy, zwierzyzna,
 A na wety, a na wety...
 Prawda! smażone akacje!
 Kucharza wezmę z Kasyna,
 Ty się postarasz o wina...

— Zaraz, pozwól no kochanie,
 Ciekawym ile zostanie?
 Pensji mam dwieście czternaście,
 Z tych, ile człowiek pamięta
 Szmul złapie sto, a szesnaście
 Potrąca mi, mocium panie,
 Na raty — teraz... procenta ..
 Dobryś! figa! ani centa!

— Ani centa! jedno wiecznie!
 Ależ potrzeba! koniecznie!
 Słuchaj: był bal u sędziny.
 Wieczór u radcy Konrada.

U Adamów imieniny,
 U nas nie! to jest niegrzecznie!
 Co wypada, to wypada,
 Idź i pożycz! trudna rada!

— Już ja sam o tem myślałem,
 I owszem, duszą i ciałem,
 Lecz chyba na zastaw jaki,
 Inaczej, nikt nie da grosza.
 Czekał, Icek wziął tumaki,
 Na ostatni bal oddałem
 Szumulowi serwis z pod klosza...
 Chyba jeszcze twoja brosza?

— Prawda! to myśl doskonała!
 A jam na śmierć zapomniała!
 Na, masz, idź — a ja do mamy,
 Pomówić z nią o kucharzu.
 Potem się w mieście spotkamy.
 Potrzebna mi suknia biała...
 Przepis na krem — w kalendarzu...
 A idźże już raz! nudziarzu!

BOHATEROWIE.

— A to panie się paliło!
 Lece, patrzę, ogień wzrasta,
 I pomyka całą siłą
 Po płotach, prosto do miasta.

Jak się dorwę do siekiery!
 Jak płatnę raz, dwa, trzy, cztery,
 Basta; wszystko wnet skończone,
 I miasteczko ocalone.

- A to panie się paliło!
 Ogień wprost na miasto wali,
 Strach doprawdy patrzeć było.
 Jakem przybiegł, wszyscy stali;
 A tu już się palą płoty!
 Jak się porwę do roboty!
 Jak odwałę je na stronę!
 I miasteczko ocalone.
- A to panie się paliło!
 Wrzask i rwetes; wielkie nieba!
 Nikomu się ani śniło,
 Że płoty rozrzucić trzeba!
 Jak dopadnę jakiejś pałki!
 Szach! mach! poszedł płot w kawałki;
 Płomienie ograniczone,
 I miasteczko ocalone.
- A to panie się paliło!
 Przylatuję — piekło czyste!
 A tu nikogo! to miło!
 Płoty w ogniu! Jezu Chryste!
 Jak huknę: dajcie bosaka!
 Jak nie puszczę nim wiaćraka!

W moment płoty rozwalone,
I miasteczko ocalone.

— Tak, prawda że się paliło;
Tylko przysiądz jestem gotów,
Zem widział, jak szewc Burmyło
Uwijał się koło płotów.
Teraz pjany, śpi na sianie,
Zapytamy go jak wstanie;
Bo plotą, że przez obronę
Szewcką, miasto ocalone.

ZARAZ BYŁO INACZEJ.

— Nie wiem czyli wiesz o kłótni
Pawła z Piotrem; obaj butni,
Pocubili się aż miło;
Jak studenci, jak smarkacze.
— Widać, że mnie tam nie było,
Zaraz byłoby inaczej!

— Ktoby to uwierzył, proszę.
Alfred dostał dwa odkosze;
Człowiek choć przyłóż do rany.
Niechże mi kto wytłómaczy?
— Niezdara patentowany!
Ze mną byłoby inaczej!

— Czytałem powiastkę małą;
Aż dwóch razem ją pisało.

Nie wiem czego chcieli dowieść,
Ale widać że partacze.

— Gdybym ja napisał powieść,
Zaraz byłoby inaczej!

— Jackowi to się nie wiedzie,
Słyszałeś o jego biedzie?

Stracił co do grosza prawie.

Na gospodarstwie i płacze,

— Bo się nie znał na uprawie,
U mnie byłoby inaczej!

— A Stefan; co miał miljonu?

Dziś szarpia go z każdej strony;

Kursa mu niedopisały,

Prawie oszalał z rozpaczy.

— Zły rachunek, sekret cały,
Ze mną byłoby inaczej!

— Ale... masz tu list od Jana,

Czytaj... cóżeś zbladł jak ściana?

— Bo... straciłem pół fortuny,

Na giełdzie, Lombardach raczej;

A chciałem grać na Rumuuy!

Zaraz byłoby inaczej!

PAN ASTOLF.

— A! pan Astolf! jest przecie!
Witamy kochanego!

Pan żyjesz w wielkim świecie,
Co tam słychać nowego?

— Byłem w teatrze; w łoży
Siedział hrabia Ambroży,
I kiwnął, dając słowo,
Czternaście razy głową.

— Panie Astolfie drogi!

Jeszcze o co prosimy!

— Hrabiowie Kozierogi
Nie wyjadą tej zimy.
Właśnie gdym szedł pod ramię
Z hrabią Pysiem — przy bramie
Hrabia Tyś nas spotyka;
Poszli tam na bezika.

A! pan Astolf kochany

Jak mówi, to aż miło!

— Dziś u hrabiny Djany
Lusterko się rozbiło;
Hrabianka Ewelina,
Mówiła mi Regina
Pokojówka — że trochę
Przydeptała pończochę.

— Panie Astolfie! jeszcze!

Jeszcze jaka nowinka!

— Hrabia Leoś ma dreszcze,
Hrabia Pipcio ma synka,

Wczoraj o ósmej z rana,
 Lokaj hrabiego Jana,
 Niósł do hrabiego Edzia
 Suczkę hrabiego Fredzia.

- A! pan Astolf to zawsze
 Tęga do nowin główka...
- Powiem wam najciekawsze,
 Lecz sekret, ani słówka.
 Wczoraj, punkt jedenasta,
 Kuchta hrabiego Piasta
 Oświadczył się Maryni,
 Szwaczce hrabianki Dyni.
- Nasz pan Astolf niech żyje!
 Może jeszcze co powie?
- Co to? szósta już bije?
 Do widzenia panowie!
 Dziś u świętej Brygidy
 Ślub hrabianki Sylfidy,
 Muszę tam być, czas w drogę!
 Aj! aj! spóźnić się mogę!

PIĘKNA POLSZCZYŻNA.

- Pan Piotr miał wypadek mały:
 Onegdaj, pod wsią Kamykiem,
 Dwa pociągi się spotkały...

— Jakim pan mówisz językiem!
 Nie mów pan nigdy spotkały,
 Lecz pociągi się *zderzyły!*
 To wyraz dla ucha miły!

... Otóż pan Piotr, w tem zdarzeniu,
 Poleca się bozkiej pieczy,
 I myśli o wyskoczeniu...
 — Jak pan polszczyznę kaleczy!
 Nie — myśli o wyskoczeniu,
 Ale — *na skok reflektuje!*
 To dopiero rzecz małuje!

... Więc pan Piotr okno wybija,
 A choć krzyczą: złamiesz nogę!
 On zdrową radę pomija...
 — Panie! ja słuchać nie mogę!
 Wyższy styl dziś nie pomija
 Rady, lecz ją *abstrahuje!*
 Że też pan tego nie czuje!

... Otóż skoczył i wpadł w błoto;
 Tym sposobem niepotrzebnie
 Wystawił się na śmiech oto.
 — Ach! jak pan mówi haniebnie!
 Wystawił się na śmiech oto!
Zblamował się! tak mój panie!
 Pozwól, ja powiem to zdanie:

Pan Piotr *na skok reflektuje*,
 Bo pociągi *się zderzyły*;
 I zamiar swój *wykonuje*,
 Choć nie radzą. Zbiera siły,
 Skacze, radę *abstrahuje*...
 Zblamował się! Każdy przyzna, *)
 Że to jest piękna polszczyzna!



*) W tym wierszu dotknięte są wyrażenia, używane często w publicystyce galicyjskiej.

SPIS RZECZY.

	str.
Boże! jak Ty rządysz światem!	4
Ciężkie czasy.	5
Α to mi się zdarzyło!	7
Muzyków zejście na ziemię.	9
O wieszczko! gdybyś ty chciała!	12
Dr. Skubacki.	13
Jowisz — Dziedzicem.	16
Prelekcja.	20
Strasznie nienawidzę plotek.	22
To bardzo być może.	25
Modnie ubrana.	27
Złota młodzież.	29
Najlepiej nie myśleć o tem.	31
Patrz co ja mam Janie! Janie!	34
Tak kolego.	37
Myśliwi.	37
Okropnie mnie zęby bolą!	40
Jestem pan i kwita.	42
Boże! jaka ona głupia!	44
Djabliż tam o tem wiedzieli.	46
Α co? niemówiłem!... krowa!	48
Jakoś to będzie.	50
Czy to nie jest prosta droga?	52
A idźże już raz! nudziarzu!	54
Bohaterowie.	56
Zaraz byłoby inaczej.	58
Pan Astolf.	59
Piękna polszczyzna.	61



Poznań

908/180

50-

BIBLIJA

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

ct.
15
35
40
20
20

138748

30
20
—75
20
40
40
20
10
35
20
35
40
20
40
30
30
10

Biblioteka WSP Kielce



0138437

30
30
25
15
25
40
20
20
20
20
40
20
50
15
40
10
25
15
40
20
20
45

Anna z Podgórza, Z Po 15
 po Europie 35
Brodziński, Wiesław 40
 — O narodowości Polak 20
Brzozowski, Noc Strz 20
 w Anatolji
Chronologia polska 30
Feliński, Barbara Radziwi 20
Foe Daniel, Robinson
Garczyński St., Wspomn 75
 z czasów wojny
Goszczyński, Anna z Nabrzeza, 20
 powieść —
 — Król zamczyska 40
 — Oda, powieść 40
 — Sobótka 20
 — Straszny Strzele 35
 — Zamek Kaniows 20
Hausner Ojko, O po 35
Jeź T. T., Asan, po 40
Klonowicz, Flis 20
Kochanowski, Pieśni 40
 — Szachy 30
 — Treń 30
Krasicki, Bajki i przypowieści 10
 — Monachomachja i Antimo- 20
 nachomachja
 — Myszeis, poemat żartobliwy 20
 — Satyry 30
 — Wojna Chocimska 30
Krasiński, Przedświt 20
Kraszewski, Jaryna, powieść 55
Lenartowicz, Szopka 25
 — Lirenka 35
 — Bitwa Racławicka 20
Malczewski, Marja 15
Mazurkiewicz, Demokracja 30
 polska
Mickiewicz Warcaby 15
Morgenbesser, Obrona Sokoła- 50
 wa, poemat żartobliwy
 — Palestra 20
 — Mysłący burmistrz 20
Natęcz, Renegat, powieść 40
Niemcewicz, Spiewy historycz. 35
 * *Pajgert*, Pieśni proroków 30

— *Ballady* 40
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 10
 — *Ballady* 35
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 35
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 30
 — *Ballady* 30
 — *Ballady* 25
 — *Ballady* 15
 — *Ballady* 25
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 20
 — *Ballady* 40
 — *Ballady* 20
 * *Ujejski*, Skargi Jeremiego 50
 — Dla Moskali 15
W. rnicki, Prześladowanie uni- 40
 tów na Podlasiu
Wołowski, Praca dzieci 10
Woroniec, Sybilla 25
Zieliński, Kirgiz, powieść 15
Zimorowicz J. B., Sielanki 40
Zimorowicz Szymon, Roks olanki 20
Zmorski, Lesław 20
Żeligowski, Jordan 45